

Enklawa luksusu. Prawdziwe oblicze Dubaju

Oprac.: Karolina Olejak

Obok nas przechodzi wysoki, może czterdziestoletni jegomość z solidnym brzuchem. Podąża bezszelestnie w sobie znanym celu, nie ogląda się, choć dwa metry za nim kroczą jego cztery małżonki w czerni. Dla postronnego obserwatora różnią się jedynie wzrostem – cztery czarne postacie bez twarzy i kształtów, niczym wdowy w żałobie. Publikujemy fragmenty książki "Dubaj. Prawdziwe oblicze" Jacka Pałkiewicza



Godzina piąta rano. Ekskluzywny terminal numer 3 międzynarodowego lotniska w Dubaju. Łagodne elipsy i półkola, kolorowe szklane ściany, łuki zadaszeń przypominające zastygłe w starcie skrzydła potężnego ptaka. Wszystko to oświetlone miękkim białym lub błękitnym światłem, czyste, zadbane, chronione przez dyskretnie rozlokowane kamery. Już o tej porze lotnisko tętni życiem. Szybko mieszamy się z charakterystycznym dla Bliskiego Wschodu tłumem.

Każdy inny, każdy ciekawy

Wśród Egipcjan i Jordańczyków, obowiązkowo z idealnie przystrzyżonymi, zadbanymi brodami, hinduscy komiwojażerowie w jaskrawych koszulkach w kratkę i brytyjskie małżeństwa emerytów w bermudach. Ci ostatni siadają na miękkich kanapach elektrycznych wózków, które z cichym szumem uwożą ich w stronę wyjścia. – Nie tędy – rzucam ukradkiem do Lindy i odciągam ją na środek holu pokrytego białymi błyszczącymi płytkami. Blisko ściany bowiem pędzi prosto na nas pięćdziesięciosobowa chyba wycieczka Japończyków. Nie oni jedni zresztą stanowią żywą bombę – jak okiem sięgnąć, roją się sfory turystów pod flagami różnych biur podróży. W charakterystyczny sposób zachowują się młodociane Chinki z torebkami z butików. Po opuszczeniu samolotu natychmiast

włączają swoje smartfony i bezmyślnie przesuając palcami po ich ekranach, świergoczą bez ustanku. Ich oprawione w różowe i fioletowe pokrowce komórki błyszczą światłkami pojedynczych diamentów – nie wiadomo – prawdziwych czy sztucznych. Przez chwilę bez sensu zastanawiam się, czy przez telefon wykładany diamentami łatwiej się rozmawia. Moje podejście do narzędzi – a telefon jest przecież jednym z nich – nie mieści się w kategoriach estetycznych, a jedynie utylitarnych. Rodzina bladokórych Skandynawów zatrzymuje się zachwycona pod wysokimi palmami ustawionymi wzdłuż szpalery ławek i robi sobie zdjęcia na tle drzew rosnących w hali, ale Chinki najwyraźniej traktują otoczenie jako obszar do przejścia – a może bywają tu regularnie? – bo szczebiocząc bez chwili wytchnienia, mijają cuda urbanistyczne i zatrzymują się na ruchomej tafli przewożącej gości na niższy poziom.



Wreszcie mija nas grupka mało atrakcyjnych rosyjskich prostytutek, które najwyraźniej przyjechały do mozolnej pracy. Z daleka rozpoznawalne są po stroju: kroczą na obcasach tak wysokich, że przypominają cyrkowców na szczudłach. Wychudzone nogi prezentują aż po górną partię ud, jaskrawe proste sukienki opinają ich ciała z obowiązkowo wydatnym biustem. Kolorowe szale albo wielkie broszki niemal wołają, aby na nie spojrzeć. Dłonie zakończone odbłaskowo pomalowanymi szponami dzierżą tandetne torebki z ekoskóry, a kolorowe nakrycia głowy podnoszą ich wzrost – ale na pewno obniżają klasę. Jeśli dodać do tego usta powiększone krzykliwo, czerwoną zwykle pomadką i mocno podkreślone czarną kredką oczy – nie potrzeba żadnej dodatkowej wizytówki, by wiedzieć, jaki zawód reprezentują. Ta upiorna atrakcyjność według mnie tylko straszy, ale z pewnością przyciąga określoną klientelę.

Wdowy w żałobie?

Bez pośpiechu, choć z wyraźnym celem, lotnisko przemaszerowują wszelkiej maści dubajscy no table w tradycyjnych białych, rzadziej kremowych czy szarych diszdaszach – długich, sięgających ziemi strojach. Obok nas przechodzi wysoki, może czterdziestoletni jegomość z solidnym brzuchem. Podąża bezszelestnie w sobie znanym celu, nie ogląda się, choć dwa metry za nim krocą jego cztery małżonki w czerni. Dla postronnego obserwatora różnią się jedynie wzrostem – cztery czarne postacie bez twarzy i kształtów, niczym wdowy w żałobie. "Gdyby taka grupa pojawiła się wieczorem w jakimś polskim zamku, na cały kraj rozniostaby się legenda o straszących damach" – skomentował kiedyś podobny obrazek pisarz Krzysztof Petek, pasjonat takich osobliwości.

Znajomy język

Natykamy się i na Polaków. Para młodych ludzi – on krótko ostrzyżony, barczysty, ona drobniutka, blond – wydają się zagubieni i usiłują wśród tysiąca wyświetlających się informacji odnaleźć tę najważniejszą: gdzie odbiorą swoje bagaże? Przegapili tłum współpasażerów pędzący po walizki i teraz miny mają takie, jakby ktoś porzucił ich w środku amazońskiej selwy. – To lotnisko jest chyba większe od całego Olsztyna! – denerwuje się kobieta, trzymając pod rękę partnera, jedyny znany i budzący zaufanie element w tym obcym świecie. Ale on nie stanowi w tej chwili żadnej ostoi. Rzuca na boki ukradkowe, nerwowe spojrzenia. Jak im nie pomóc? – Cześć, młodzieży – zagadują i

ruszam w stronę taśm, po których jadą już nasze bagaże. — Jesteście z Warmii? Chodźcie, już jadą walizki. Mężczyzna z ulgą podąża za mną. Nie musi się przyznawać, że czuł się zagubiony. Honor uratowany. — Tak, z Olsztyna — odpowiada. — Chcielibyśmy w końcu zaliczyć wakacje, podczas których deszcz nie będzie nam cały czas utrudniał życia. — To doskonale wybraliście — słyszę za sobą dystyngowany damski głos. Może sześćdziesięcioletnia elegancka pani uśmiecha się do nas, trzymając pod rękę wyższego od siebie mężczyznę o krótkich siwych włosach i przystryżonej w szpic brodzie. Milczący pan wolną ręką popycha bez trudu lotniskowy wózek z dwiema solidnymi walizkami. Nie odzywa się, ograniczając się jedynie do złożenia symbolicznego ukłonu. Za to jego żona z miną obywatela zwraca się do mnie: — Wydaje mi się, że już gdzieś pana widziałam... A państwo na wakacje? — Przerzuca wzrok na młodą parę, nie czekając na moją odpowiedź. — Bo my z mężem pędzimy prosto z Zabrza tranzytem do Australii, by odwiedzić syna, którego nie widzieliśmy już trzy lata! O, a panie siedziały w samolocie za nami! Obie panie Agnieszki! — zwraca się do dwóch dwudziestolatek. Jedna z nich, szczupła, wysoka, z długimi blond włosami i pociągłą twarzą, sprawia wrażenie pewnej siebie agentki. Z postawy i wyglądu przypomina mi filmową Larę Croft — tylko pozbawioną broni. Jej towarzyszka jest niską, okrągłą szatynką. — Tak — zgodnie z przewidywaniami odpowiada wysoka. Pewnym, niskim głosem. — Wakacje. Zerwałam z facetem, z którym byłam przez sześć lat, i zamiast niego do Dubaju wzięłam przyjaciółkę. Starsza dama pewnie po raz pierwszy od dawna zapomina języka w gębie. Widać, że nie jest przyzwyczajona do tak otwartego mówienia o podobnych sprawach. Obrzuca wszystkich spłoszonym wzrokiem i kiwa głową. — Do widzenia państwu. Śpieszymy się na kolejny samolot... Po czym pociąga zdziwionego męża w przeciwną stronę ekskluzywnego terminalu numer 3.



Podążamy już spokojnie do rozświetlonej sali z transporterami wiozącymi bagaże. — Dużo Polaków mieszka w Dubaju? Wielu tu przylatuje? — pyta Linda. — Emirates weszły na polski rynek w 2012 roku — odpowiadam — a rok później można już było przyjeżdżać tu bez wizy. Nic dziwnego, że polska obecność jest tu zauważalna. Ale to i tak kropla w morzu, setka, może trochę więcej Polaków dziennie. Przecież to lotnisko obsługuje ponad czterdzieści siedem tysięcy przyjezdźnych każdego dnia. Rozglądamy się wokół. Nieskończone korytarze, zaulki, chodniki przecinają się, tworząc miasto w mieście. Zbytek bije w oczy, rzędy prawdziwych palm, miliony watów światła i eleganckie galerie handlowe ciągną się wzdłuż ścian lotniska, każąc zapomnieć, jakemu właściwie celowi służy to miejsce. O samolotach, nawet najnowocześniejszych, zapewne nikt już nie myśli, skoro z każdym krokiem za szybami sklepów pojawiają się kolejne ekskluzywne marki: Armani, Hugo Boss, Escada, Next, sklepy z kosmetykami, wyrobami tytoniowymi, a wszystko otwarte całą dobę. Typowy dla lotnisk konsumpcyjny raj tranzytowych konsumentów, którzy podekscytowani wielkim światem skłonni są do nadzwyczajnych zakupów. Mówi się, że 15 tysięcy metrów kwadratowych powierzchni eleganckich sklepów, w których zatrudnionych jest 5600 ekspedientów, wypromowało się tu na największe w świecie centrum duty free z rocznym obrotem blisko 2 miliardów dolarów. I oczywiście całe bogactwo lokali gastronomicznych. Idąc wzdłuż kolorowej oświetlonej ściany, widzimy dziesiątki knajpek, restauracji, barów i fast foodów. Część z nich to idealna kopia znanych z całego świata wszelkich hamburgerowni i frytkodajni. Inne kuszą orientalnymi potrawami, niewielkimi, ale eleganckimi stolikami, przyjemnym dla oka wystrojem wewnątrz i obsługą z wiecznym firmowym uśmiechem. Dwukrotnie zatrzymujemy się przed wielojęzycznym menu, aby zerknąć, co ciekawego można tu dostać. Natychmiast pojawia się kelner z gotową formułką: — Czy mogę

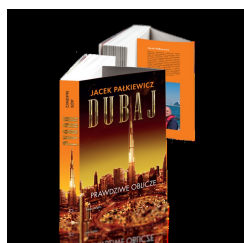
służyć? Mogę zaprosić do stolika? Oczywiście zapraszać może, ale my tylko zerkaliśmy na orientalne dania. Idziemy dalej. Zetknięcie absolutnej nowoczesności z tradycją jawi się na każdym kroku.

Luksus dla fanów tytoniu

Oto po chwili natykamy się na supernowoczesne pomieszczenie dla palaczy, oznaczone napisami i ikonami na szybach, wentylowane i klimatyzowane tak dokładnie, że można by tam składać całopalną ofiarę z wołu – a na zewnątrz i tak nikt nie wyczułby swądu. Zaraz potem naszym oczom ukazuje się inny pokój, także dokładnie oznaczony. To rodzaj mikroskopijnej świątyni, pomieszczenie dla rozmodlonych mużłmanów. W odpowiednich porach na specjalnych matach wierni zanoszą tu modły do Allacha. Linda jest zachwycona lotniskiem. Nie podziela jej fascynacji, bo wprawdzie port jest duży, bardzo ładny i dobrze zaopatrzony, ale to samo znajdzie się też w Londynie, Frankfurcie albo Las Vegas czy Atlancie. Wydostanie się z lotniska jest jak przeskok do nowego świata. Innego miasta. Pozostajemy jednak w konwencji blichtru i przesyconej luksusem gry komputerowej.



Dubaj robi wrażenie. Jeszcze do wczesnych lat siedemdziesiątych był to zapomniany przez Allacha miniaturowy skrawek pustyni, zamieszkały przez kilkadziesiąt tysięcy Beduinów, rybaków, pasterzy i połowiaczy pereł. A teraz to metropolia. Wsiadając do taksówki i jadąc przez to morze kolorów, labirynt drapaczy chmur i piekło zgiełku, mam wrażenie, że znalazłem się w galerii sztuki współczesnej, zawieszony pomiędzy estetyką i transgresją, dziełem sztuki i nadętością, prowokacją i proroczą wizją. I nie ukrywam, że w jakimś sensie galeria ta mnie urzeka – mnie, weterana podróży do zakątków nieobjętych cywilizacją.



<https://wydarzenia.interia.pl/zagranica/news-enklawa-luksusu-prawdziwe-oblicze-dubaju,nId,5829903>